

Wiesława Łaskowska

Przymierze probówki z fabryką

SPRAWY NAUKI • SPRAWY NAUKI • SPRAWY NAUKI • SPRAWY •

Pomagają sobie nawzajem ku obopólnemu zadowoleniu. Jedni dają swoją wiedzę, drudzy dostęp do najbardziej nowoczesnej aparatury. Składa się na to dorobek o wielkim znaczeniu dla rozwoju krajowej techniki.

Scisła współpraca nauki z przemysłem datuje się we Wrocławiu już od kilku lat i z każdym rokiem coraz bardziej się rozwija. Pierwsze skrzypce gra tu Politechnika Wrocławska, która samoradnie przyjęła na siebie odpowiedzialność za wprowadzanie najnowszych zdobyczy nauki do przemysłu Dolnego Śląska. Niedawno w większych przedsiębiorstwach powołano nawet służące tym celom rady naukowo-techniczne. Działają już w „Rokicie”, Turowie, Jelczańskich Zakładach Samochodowych i „Elwro”. Przedsiębiorstwa zapewniły sobie w ten sposób pomoc nauki na bieżąco, naukowcy możliwość przeprowadzenia prób i doświadczeń w warunkach bezpośredniej produkcji i na najbardziej nowoczesnym sprzęcie, jakim często nie dysponują laboratoria uczelni.

Kilkuletni dorobek tego przymierza probówki z fabryką nie da się przeliczyć na prozaiczne złotówki. Jego cena jest niewymierna i z perspektywą procentowania przez długie lata. Bo wkład wrocławskich naukowców w rozwój techniki nie ma charakteru pomocy doraźnej. Jest czymś integralnie związanym z dolnośląskim przemysłem. Taką jest m. in. współpraca Fabryki Kotłów w Raciborzu z prof. dr. Teodorem Wróblewskim, który niemal „z urzędu” czuwał nad wszystkimi konstrukcjami wielkich kotłów energetycznych. Zakładom M-5 we Wrocławiu pospieszył z pomocą

prof. dr. Andrzej Kordecki, likwidując wiele trudności przy opanowaniu skomplikowanej produkcji generatorów o dużej mocy.

Zakłady „Elwro” wiele zawdzięczają doc. Jerzemu Bromirskiemu, który pomógł uruchomić produkcję maszyn liczących. Również konstruktorami mikroskopu elektronowego, jedynego tego typu przyrządu w Polsce, są wrocławscy uczeni, prof. Andrzej Jellonek i Wiesław Barwicz.

Kolosalne prace badawcze, z ogromnymi widokami na przyszłość, prowadzi od paru lat grono naukowców Politechniki Wrocławskiej, pod kierunkiem prof. dr. Zdzisława Tomasika. Zespół ten już teraz pracuje z myślą o potrzebach rozwijającego się w kraju przemysłu naftowego. Badania te będą miały ogromne znaczenie dla budującej się wielkiej rafinerii w Płocku, koncentrują się bowiem na sposo-

Jak to jest we Wrocławiu?

bach uszlachetniania paliw płynnych, pochodzenia ropnego. Zespół opracował już proces tzw. reformowania benzyn, który umożliwi uzyskiwanie wielu surowców petrochemicznych, jak benzyny wysoko-oktanowe i węglowodory aromatyczne. Dziełem zespołu jest również receptura na produkcję niezbędnego w tym procesie katalizatora, który musielibyśmy importować. Podjęcie własnej produkcji pozwoli zaoszczędzić pół miliona dolarów rocznie.

Kilkuletnie badania i próby laboratoryjne nad rafinacją benzenu przyniosły jeszcze jeden sukces: wynaleziono system wyeliminowania z dotychczasowych syntez chemicz-

4 XI - Konkurs im. Wieniawskiego



Złeki K. Przychodzkiego

nym — niezbędnych dla tego procesu — kosztownych i dużych odpadów. Ta, tzw. hydorafinacja, polega na rafinacji benzenu poprzez użycie wodoru. Udały próby na-

Potrzeby przemysłu Dolnego Śląska i kraju znalazły swój oddźwięk w programie rozbudowy Politechniki Wrocławskiej obejmującym lata 1962—71. Ma powstać 50 nowych katedr i 80 zakładów naukowych, wiele dotychczasowych placówek przejdzie kurację od mładszą, stosowaną do aktualnych i przyszłych potrzeb gospodarki narodowej. Będą to między innymi katedry rzadkich pierwiastków, przetwórstwa tworzyw sztucznych i syntez organicznych, katedra maszyn cyfrowych, automatyki, teorii regulacji, technologii sprężu telekomunikacyjnego i elektroniki, i in. Równie eksponowaną pozycję w nauce zajmują sprawy dotyczące budowy taboru kolejowego (Pafawag), rzeczno-

gospodarki (wrocławskie stocznie rzeczne) oraz nadwozi samochodowych (zakłady w Jelczu).

Ta, godna naśladowania, współpraca nauki z przemysłem — być może zapoczątkuje u nas nową gałąź swego rodzaju przemysłu: przemysłu badań naukowych.

Po 1935 roku rozwinął się w postępowych środowiskach polskiej inteligencji ruch klubów demokratycznych, będący wyrazem przemian w postawie tych grup wobec ówczesnej sytuacji wewnętrznej i zagranicznej kraju. Okres ten charakteryzował się z jednej strony dążeniem rządzącej grupy sanacyjnej do utrzymania się nadal przy władzy drogą ograniczania praw demokratycznych i represji wobec przeciwników, a z drugiej — narastaniem w społeczeństwie nastrojów opozycji i buntu przeciw sanacji.

Pierwszy Klub Demokratyczny powstał 16 października 1937 r. w Warszawie, z inicjatywy grona działaczy postępowego środowiska inteligencji z prof. dr. M. Michałowiczem na czele. Założycielami byli m. in. W. Rzymowski, J. Grzędziński, R. Miller, H. Krahelska, M. Handelsman, W. Kowalski, E. Hiżowa i inni, a więc literaci, dziennikarze, uczeni, wojskowi, architekci. Ogłoszona wówczas „Mała Deklaracja Demokratyczna” głosiła m. in. hasła demokracji opartej o powszechne i w pełni demokratyczne prawo wyborcze, opowiadała się za współpracą Polski z wielkimi demokracjami świata, wzywała do współpracy z socjalistami i ludowcami. Szybko powstały następne kluby w Krakowie, Łodzi, Wilnie, Lwowie, Katowicach, Zagłębiu Dąbrowskim, w woj. lubelskim, Zagłębiu Naftowym i w szeregu mniejszych miast.

W czerwcu 1938 r. na lwowskim Zjeździe Klubów Demokratycznych, który zgromadził 55 przedstawicieli,

Edmund Orkiszewski

25 lat Stronnictwa Demokratycznego

ludzi różnych inteligentkich kół, wyłoniono Centralny Komitet Organizacyjny Stronnictwa Demokratycznego, który przygotował ramy organizacyjne Stronnictwa. W kwietniu 1939 r. odbył się w Warszawie Ogólnopolski Zjazd Założycieli Stronnictwa Demokratycznego, który uchwalił Deklarację Programową i wybrał władze naczelne. Treść uchwalonej deklaracji można skrótkowo ująć w takich podstawowych punktach: zapewnienie wolności osobistej bez względu na pochodzenie, wyznanie, płeć i narodowość; poszanowanie praw; zbudowanie w Polsce ustroju demokratycznego; przywrócenie samorządowi ich właściwego charakteru; opieka państwa nad nauką i sztuką; przebudowa ustroju gospodarczego (gospodarka planowa, upaństwowienie przemysłu, reforma rolna). Na czele władz stanęli m. in. prof. dr. Michałowicz prof. M. Handelsman i płk. dr. St. Wieckowski. Wychodzą w tym czasie pisma „Epoka”, „Czarno na Białym” i krakowski „Kurier Wieczorny”, z którymi współpracują wybitni działacze demokracji okresu międzywojennego.

Okres okupacji nie przerwał działalności Stronnictwa, chociaż z konieczności musiało przejść do pracy konspiracyjnej. Wychodzą pod egidą SD „Nowe Drogi”, „Głos Demokracji”, „Dzień”, „Głos Wolny Wolność Ubezpieczający”, „Młoda Demokracja” — organ Ruchu Młodej Demokracji i inne. W obozach ginie wielu działaczy.

W okresie okupacji występowały w Stronnictwie tendencje zarówno dalszej radykalizacji, jak i cofania się społecznego. Jednak na czoło wysunęła się tendencja oparcia Polski niepodległej o sojusz i współpracę ze Związkiem Radzieckim oraz postulat radykalnej przebudowy ustroju społecznego Polski.

Od pierwszych chwil wyzwolenia Stronnictwo Demokratyczne stało na gruncie budowy nowej Polski u boku klasy robotniczej i w sojuszu z innymi partiami demokratycznymi. Wyrazem tego był podpis Wincentego Rzymowskiego pod Manifestem Lipcowym, 1944 r. w wyzwolonym Lublinie. Nastąpiło formalne wznowienie działalności Stronnictwa Demokratycznego, jako partii politycznej, a we wrześniu

tego samego roku ogłoszono „Deklarację Programową SD”.

Rozpoczął się nowy okres pracy, w warunkach dających możliwości praktycznej realizacji założeń programowych i organizacyjnego rozwoju. Stronnictwo, przed wojną przeważnie o składzie inteligentkim, zaczęło skupiać szersze rzesze rzemiosła i innych miejskich warstw pośrednich, stając się partią masową.

Wspólne są cele trzech działających w kraju partii politycznych — budowa ustroju socjalistycznego w Polsce. Z tej wspólnoty wynika trwałość sojuszu, opartego o uznanie przez Stronnictwo Demokratyczne kierowniczej roli PZPR w budowie socjalizmu oraz uznanie przez PZPR potrzeb, interesów i samodzielności Stronnictwa Demokratycznego.

Działacze SD są w Sejmie, Rządzie, radach narodowych, w organizacjach masowych. Prace nad kształtowaniem świadomości politycznej wśród środowisk bazy społecznej Stronnictwa należą do węzłowych zagadnień w jego działalności. W codziennej pracy ogniw partyjnych dominują takie sprawy, jak problemy oświaty i wychowania, upowszechnienia kultury, ochrony zdrowia, rozwoju drobnej wytwórczości i rzemiosła, gospodarki komunalnej i mieszkaniowej oraz aktywizacji małych miast.

Minione 25 lat działalności SD dobrze zapisały się w historii polskiego ruchu demokratycznego oraz wniosły swój realny wkład w budowę ustroju socjalistycznego w Polsce.

Bogusław Reichardt

POMNIKI I NADZIEJE

Z 50-metrowej wieży, która wznosi się na wzgórzu Ettersberg, trzy razy w ciągu dnia rozlega się głos dzwonu. Poniżej „Droga Narodów”. Wzdłuż niej 18 pomników, które stanęły tu, aby uczcić 56 tysięcy zamordowanych 18 narodowości. Obok 3 olbrzymie masowe groby, okute w koliste obramowania. U podnóża wieży pomnik wyobrażający postacie więźniów obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie.

7 km od Weimaru, miasta Schillera i Goethego, symbolu niemieckiej kultury — świadectwo barbarzyństwa — Buchenwald. Moim przewodnikiem jest Willi Kreuzberg, b. więzień Sachsenhausen.

Nie pierwszy raz widzę Hitlerowski obóz zniszczenia. Zwiedzam niejednokrotnie Oświęcim i Majdanek. A Buchenwald był tylko — według faszystowskiej nomenklatury — obozem pracy.

W tym „obozie pracy” ludzie głodni, prześladowani, wycieńczeni zdawali się do ostateczności, w obozie, gdzie za zastrzelenie więźnia SS-mann otrzymywał 3 dni urlopu i 10 marek nagrody — więźniowie zdobyli się na opór wobec przemocy. Jak w wielu spośród 1100 hitlerowskich obozów śmierci, rozsypanych po całej Europie. Buchenwaldzki ruch oporu dysponował karabinem maszynowym, 90 karabinami, 300 granatami ręcznymi, wykonanymi przez więzionych tu jeńców radzieckich. Niektóre przedmioty z tego uzbrojenia można dziś zobaczyć w obozowym muzeum. We władzach buchenwaldzkiej organizacji podziemnej działał m. in. Polak, obecnie poseł i członek KC PZPR — Jan Izdorzyczyk. 11 kwietnia 1945 r., dwa dni przed wkroczeniem wojsk amerykańskich i blisko miesiąc przed zakończeniem wojny, więźniowie Buchenwaldu sami się wyzwolili.

Przed dwoma tygodniami odwiedziła Buchenwald 24-osobowa grupa b. więźniów tego obozu z Polski. Niektórzy z nich pracowali tu w czasie wojny na pobliskiej stacji Schoendorf i odwiedzili zamieszkałą tu Niemkę nazwiskiem Schinke, która pracując również na stacji w tej wsi, podawała im żywność i odzież, pomagała przeżyć...

„Pomnik na stokach Ettersberg rząd i ludność NRD wzniosły ku czci ofiar Buchenwaldu. W Ravensbrueck, niedaleko od Berlina, pomnik dłuta Willi Lamerta wzniesiono na wieczną chwałę 92 tys. kobiet zamordowanych przez faszystów. Przed półtora rokiem przedstawiciele 23 narodów uczestniczyli w odsłonięciu pomnika ofiar Sachsenhausen...”

Na buchenwaldzkim pomniku wypisano słowa: „Zniszczenie faszystów do korzeni — naszym hasłem. Budowa nowego świata, w pokoju i wolności — naszym celem”. Ludność NRD i jej rząd czci w ten sposób pamięć 11 milionów ludzi pomordowanych przez hitlerowców. Wypełnia testament tych, którzy zginęli: buduje nowe Niemcy. Te Niemcy, które są nadzieją świata.

Ale nie wszędzie powstają takie Niemcy. Jednym z dyrektorów IG Farben-Industrie, koncernu, który na śmierci milionów ludzi w obozach koncentracyjnych pomnażał swoją fortunę, był dr Schmitz. Między innymi na jego rozkaz i — jak się to oficjalnie nazywało — na zapotrzebowanie, dokonywano w Buchenwaldzie tzw. eksperymentów lekarskich. Dziś tenże dr Schmitz jest znowu jednym z dyrektorów generalnych tegoż samego IG Farben, które pod opiekunkami skrzydłami rządu Adenauera znowu przeżywa prosperity.

Szef Gestapo w Buchenwaldzie — Leclair jest teraz komendantem policji kryminalnej w Düsseldorfie w NRD. Buchenwaldzki Stabschef SS — Otto, który zamordował Ernesta Thaelmanna, jest nauczycielem szkoły w NRD, a jego kolega, Scharführer Berger, urzędnikiem bankowym. A dr Hans Eiselle, który tu w Buchenwaldzie dokonywał bestialskich eksperymentów, od szeregu lat został w NRD zwolniony z więzienia i otrzymał od rządu NRD 25 tys. marek.

Rozmawiałem z nadburmistrzem Weimaru — Luitpoldem Steidle. Ten zasłużony działacz NRD, w przeszłości jeden z czołowych działaczy ruchu „Wolne Niemcy”. W czasie wojny przebywał na ziemi radzieckiej i jako jeden z pierwszych Niemców znalazł się w wyzwolicielami w obozie śmierci Majdanek.

Obecnie co roku odwiedza 64-tysięczny Weimar 700 tys. turystów, w tym 60 tys. z zagranicy, z całego niemal świata. Nadburmistrz Steidle opowiada, że największą radość sprawiają mu odwiedziny z Polski. W pieczołowicie przechowywanej księdze pamiątkowej widnieje zdanie wpisane przez naszego ministra Rapackiego: „Pozostaje pod głębokim wrażeniem miasta Goethego i Schillera i ich idei, które kontynuowane i przekuwane w czyn w socjalistycznym budownictwie w NRD, są żywym dowodem więzi, współpracy, wzajemnej pomocy i przyjaźni między Polską i NRD”.

Nadburmistrz Steidle prosi mnie o przekazanie pozdrowień mieszkańcom Warszawy, Krakowa i innych polskich miast, których wiele odwiedził w ostatnich latach. Wraz ze swoimi rodakami chwilił się tym, że jego ojczyzna ma za sąsiada kraj, który tyle zrobił dla kultury świata.

Piotr Życki

KOMU PIENIADZE - KOMU!

Najpierw kpiono z tego między Odrą a Bugiem na potęgę, potem najteżsi publicyści zmierzli się na pół. Problem dyskusyjny był przy imieninowych stołach oraz w zaciszu ministerialnych gabinetów. Problem ów przedstawiał się tak: można czy nie można amatorów wódki i wina obłożyć podatkiem na społeczne cele? Albo inaczej: godzi się czy może nie — budować szkoły, reperować drogi, zakładać wodociągi — za „pijające złotówki”?

Ustalono w końcu, że dziury w niebie nie będzie, gdy Kowalski z Kaczmarkiem, lub Nowak z Psztykiem — nabywając „pół basy”, przy okazji wesprą społeczny fundusz. Aby rozwiać resztki oporów z kategorii „jakżeż można” — urzędowy nakaz zdecydował przeznaczenie minimum 10 proc. wpływów z alkoholowych dopłat na cele związane ze zwalczaniem pijanstwa.

Bardzo przypadło do gustu takie postawienie sprawy prezydium rad narodowych. Rychło w całym kraju podsuwały one radom do przegłosowania projekty uchwał, mocą których słowa o ustaleniu dopłat ciałem się stawały. Było to przed paru laty. Od tej pory czasami wścibscy dziennikarze próbowali dociekać, w jakim stopniu wspomniane postanowienia są realizowane. Należę do ich grona.

Najpierw skonstatujmy fakt o znaczeniu ogólnym: nie znajdziemy w Poznańskim powiecie, gdzie by władze „wychyliły się” przeznaczając na zwalczanie alkoholizmu

więcej niż ustalone minimum 10 proc. Ano, widać uważają za to niecelowe. Przypomnijmy zatem, że Wielkopolanie wypijają w tym roku „na łypek” (bez Poznania) 2,7 litra (w przeliczeniu) stuprocentowego spirytusu, co jest rekordowym osiągnięciem w okresie ostatnich lat).

Gdyby jednak rady narodowe to tylko — w zakresie zwalczania pijanstwa — miały na sumieniu, nie byłoby źle. Byłoby całkiem dobrze! Ale praktyka uczy, że owe 10 proc. z alkoholowych dopłat są (z małymi

Piękna ustawa mniej piękna rzeczywistość

wyjątkami) wykorzystywane nieudolnie, ospale, bądź nie są wykorzystywane w ogóle.

Bywa, iż prezydium PRN stawiają sprawę w ten sposób: — W naszym powiecie nie istnieje komitet przeciwalkoholowy, to i pieniędzy na zwalczanie pijanstwa nie miał kto wydawać. — Albo: — Komitet p-a u nas działa niemrawo, to i forsy nie daliśmy. Mamy tu do czynienia z tzw. unikami, pomijam przy tym fakt, iż niepowołanie w jakimś powiecie komitetu antyalkoholowego obciąża właśnie prezydium PRN. Otóż z artykułu 10 ustawy z 10 grudnia 1959 r. „O zwalczaniu alkoholizmu” wyraźnie wynika, że omawiane fundusze z dopłat są środkami budżetowymi, zatem dysponuje nimi prezydium rady na-

rodowej. W praktyce oznacza to, iż 10-procentowy fundusz powinny wydatkować na cele związane ze zwalczaniem pijanstwa wydziały zdrowia i opieki społecznej oraz wydziały oświaty — zasięgnąwszy jedynie opinii społecznego komitetu p-a.

Nie można się oprzeć uczuciu żdziwienia i niepokoju, że rady narodowe, uchwalwszy stosowanie dopłat do napojów wysokoprocentowych (które to dopłaty nota bene wpływają wyjątkowo dobrze...), zrezygnowały następnie z kontroli wydatkowania owych funduszy. Trudno bowiem przypuścić, aby przy odpowiednim zainteresowaniu ze strony prezydium PRN zdarzać się mogły kwiatki, których bukiet zaprezentujemy poniżej.

Najpierw Trzcianka. Otóż w tym powiecie w roku ubiegłym zaplanowano na walkę z alkoholizmem około 30.000 złotych co najprawdopodobniej kolidowało z wymogiem o przeznaczaniu na akcję antypijacką dziesięć procent z dopłat (o czym świadczy preliminarz na rok bieżący sumy 100.000 zł.). Ale to już sprawa braku dostatecznego nadzoru ze strony Prezydium WRN. Przyjrzyjmy się efektywnym wydatkom: rok 1961 — 16 (szesnaście) złotych!!! Pierwsze półrocze 1962 — raptem 10.000 zł.

Gniezno — miasto. W ubiegłym roku wydano — uwaga! — 2.980 złotych. Na rok bieżący zaplanowano wprawdzie 50.000 zł, ale... w I półroczu nie wydano z tego ani grosza.

Ogromnie dużo wydano także w zeszłym roku w samym Lesznie: mniej więcej 3.000 złotych... Za to w tym roku przewiduje się tam na walkę z pijanstwem aż 85.000 zł. Tylko kiedy ta kwota zostanie wykorzystana? W ciągu półrocza stopniała zaledwie o 2.638 zł.

W Pleszewskim ludzie muszą pić niewąsko (albo po prostu władze miejscowe respektują przepisy), bowiem zapreliminowano na rok bieżący 120.000 zł z dziesięcioprocentowego udziału we wpływach z dopłat do napojów alkoholowych. Zaplanowano z rozmachem... którego nie starczyło w fazie realizacji. I półrocze br. — wydatki zaledwie 2.700 złotych.

Dość tej łatwej statystyki! Łatwej, bowiem prawie każdy powiat i każde duże miasto w Poznaniańskim mogą posłużyć za przykład do zilustrowania tezy o niefrasobliwym stosunku do obywateli z walką z pijanstwem przy pomocy przeznaczanych na ten cel funduszy. Powinno się je wydawać śmielej i w sposób bardziej przemyślny.

Dotychczas nie istnieje społeczny komitet p-a w Czarnkowie, w Gnieźnie powołano go niedawno, a w powiecie poznańskim — przed miesiącem (tak!). Zarazem, jak starałem się to wykazać, wiadomo, że na zwalczanie pijanstwa władze terenowe dysponują nie małymi kwotami pieniężnymi. Niechże więc sypną, gdzie to konieczne, groszem, by walka z alkoholizmem zaczęła być w terenie mierzona czynami, a nie tylko słowami.

Jeśli prezydium rad narodowych — łącznie z Prezydium WRN i Prezydium RN Poznania — nie bardzo

Dokończenie na str. 4

Józef Lubojański

„Aktywna polityka wschodnia”

Polskie lato 1962 w NRF (II)

Gdy Charles Wassermann w 1957 r. pisał, że polskie ziemie zachodnie i północne powracają do „stanu pierwotnego” pisał nieprawdę. Już wtedy polscy dziennikarze udowodnili, że Wassermann kłamie, że opierając się plecami o mury odbudowanych lub nowych fabryk i domów mieszkalnych fotografował i opisywał ruiny pozostałe po hitlerowskiej wojnie.

Jednak wtedy takie kłamstwa były jeszcze możliwe, mogły jeszcze liczyć na szeroki odbiór na Zachodzie. Dzisiaj nie jest to już możliwe.

Osiem milionów Polaków na ziemiach odzyskanych, a więc — jeśli uwzględnić polską ludność rodzimą — więcej Polaków na tych ziemiach, niż kiedykolwiek mieszkało na nich Niemców.

Pródkacja przemysłowa dwukrotnie większa niż za czasów panowania niemieckiego.

Poważne osiągnięcia w rolnictwie. Prawdziwy skok w dziedzinie kultury.

Dzisiaj wszystkie te osiągnięcia są uchwytnie nie tylko dla tych, którzy uważnie studiują statystyki. Przeobraziły one oblicze naszych ziem zachodnich i północnych, stały się dostrzegalne „gołym okiem”, rzucają się po prostu w oczy każdemu nawet najbardziej uprzedzonemu obserwatorowi, o ile oczywiście — że użyjemy drastycznych określeń cytowanych w poprzednim artykule dziennikarzy zachodniemieckich — nie jest kłamką lub wariatem.

W NRF — nie tylko w rządzie, ale także, z wyjątkiem nielicznych grup i jednostek, w opinii publicznej — długo nie chciano uznać tych bijących w oczy faktów. Nie mogło to jednak przeszkodzić temu, że fakty te coraz powszechniej dostrzegano na Zachodzie poza NRF, dostrzegano i coraz częściej zaczęto z faktów wyciągać logiczne wnioski.

W cytowanym już przez nas artykule „Der Spiegel” z listopada ubiegłego roku czytaliśmy:

„Nie ma prawie tygodnia, żeby amerykańscy senatorzy, brytyjscy publicyści, francuscy parlamentarzyści albo czar noskórzy dyplomaci z ONZ nie przemawiali za utrzymaniem tej granicy (na Odrze i Nysie Łużyckiej — dop. aut.)...”

To jest jedna i podstawowa przyczyna zmiany, jaka coraz szybciej następuje w sposobie patrzenia znacznej części opinii publicznej w NRF na Polskę, a na polskie ziemie zachodnie i północne w szczególności: nasze osiągnięcia na tych ziemiach i uznanie tych osiągnięć w oczach całego prawie świata.

Na dłuższą metę niemożliwe stało się uważanie za step i pustynię obszaru, który dla światowej opinii publicznej stał się przykładem polskiej preżności demograficznej, gospodarczej i kulturalnej.

Druga przyczyna — ściśle zresztą związana z pierwszą — leży w zmianach, które dokonały się w sa-

mej Republice Federalnej. Niemcy zachodnie są pełne samozachwyty dla osiągnięć swojej „polityki zachodniej”, dla swoich osiągnięć w ramach NATO, EWG itd. Trzeba zresztą obiektywnie stwierdzić, że to zachodniemieckie samozadowolenie jest w tym zakresie w pełni uzasadnione. W swoich stosunkach z Zachodem NRF istotnie ma do odnotowania poważne, bardzo poważne sukcesy. Ostatnio sukcesy te znalazły patetyczne potwierdzenie w wystąpieniach prezydenta de Gaulle'a w czasie jego wizyty w NRF. Czy te sukcesy niemieckie wyjdą Zachodowi na zdrowie, to inna sprawa, w którą nie chcemy się tu wdawać.

Na tym tle dla coraz poważniejszej części zachodniemieckiej opinii publicznej coraz bardziej widoczna staje się sztywność i — koniec końców — jałowość i nieskuteczność zachodniemieckiej „polityki wschodniej”. Coraz częstsze i coraz bardziej głośne stają się w NRF wołania o „aktywną politykę wschodnią”.

Jest zrozumiałe, że istotnym elementem niemieckiej polityki wschodniej musi być stosunek do Polski, a to znowu jest przede wszystkim sprawa stosunku NRF do granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

W znanym memorandum ośmiu duchownych i świeckich działaczy kościoła ewangelickiego w NRF („memorandum ośmiu z Tybingi”) z marca br. czytaliśmy:

„...roszczenia do obszarów za Odrą i Nysą muszą być porzucone... Nie będzie my mogli sprostać kryzysom nadchodzących miesięcy, jeżeli niemożliwe będzie przygotowanie opinii publicznej na rozwój wydarzeń, który jest już w toku i który wymagać będzie posunięć, jakie naród nasz w krótkim czasie zmuszony będzie uznać i pogodzić się z nimi”.

Jeden z najbardziej energicznych szermierzy „aktywnej polityki wschodniej” w NRF prof. Golo Mann pisał niedawno na łamach „Die Zeit” (nr 26 z 7 września 1962 roku):

„Poruszyłem w ten sposób jedno z węzłowych zagadnień bliskiej przyszłości niemieckiej, pilne zadanie, które polityka niemiecka może omijać jeszcze dzisiaj i jutro, ale którego długo omijać nie będzie mogła: niewymuszone uznanie nowego porządku terytorialnego w Europie wschodniej, uznanie nie tylko przez rokowania pokojowe, ale także przez swobodne oświadczenie woli, zanim prawdziwe rokowania pokojowe w ogóle mogą się rozpocząć”.

Statyczny obraz polskich ziem zachodnich i północnych jako pustyni i stepu odpowiadał statycznej i sztywnej polityce wschodniej Adenauera, odpowiadał formule granic z 1937 roku. Nie odpowiada jednak tym, którzy myślą i piszą o „aktywnej polityce wschodniej”, aktywnej tzn. elastycznej i dynamicznej. „Der Spiegel” w cytowanym już kilkakrotnie artykule nazwał formułę granic z 1937 r. „hamulcem zachodniemieckiej polityki wschodniej” („Bremsklotz westdeutscher Ostpolitik”).

Bogusław Koguł

Masa kultury?

„Nie kultura masowa, ale masa kultury” — pisał Jerzy Putrament w „Nowej Kulturze”, nr 41. I jeszcze, że nowe obszary przemysłowe, tak samo jak Śląsk, powinny być w pierwszej kolejności obsłużone przez front kulturalny, mieć filharmonie, galerie sztuki itp. Tylko przyklasnąć!

Nas tutaj w Wielkopolsce bardzo to wszystko obchodzi. Mamy nowe obszary przemysłowe, już dziś wielkie, jutro — potężne. To wiemy już od dość dawna. Teraz dowiadujemy się (od Putramenta), że nie należy myśleć o kulturze masowej, bo to sugeruje drugorzędność wobec kultury elitarniej a socjalizm zakłada jedność kulturalną narodu, zaś cały ten socjalizm zaczęto ileś tam wieków temu, aby przeciwdziałać nierówności losów ludzkich. Przetrzymamy to na język zadań konkretnych i rozwiązań praktycznych, bo — jak łatwo zauważyć — na razie mamy do czynienia z ogólnikami.

Co trzeba robić? Trzeba w Koninie wraz z hutą aluminium zbudować filharmonię i galerie sztuki, postać tam Satanowskiego i Zdzisława Kepińskiego, nie samych oczywiście, ale z całym „frontem”. Zniwelujemy nierówność kulturalną, osiągniemy kulturalną jedność, bo nie będzie tam żadnej kultury masowej, tylko masa kultury. Masa kultury!

No cóż. Kiedy zbawienne ogólniki zaczyna się dopasowywać do konkretnej sytuacji, wychodzą marzenia ściętej głowy. Bo nie można iść od razu z filharmonią tam, gdzie gros ludzi okazuje jako taką wrażliwość jedynie na muzykę liturgiczną w wykonaniu parafialnego organisty; nie można iść od razu z galerią sztuki tam, gdzie wyobraźnia i wrażliwość ludzka sięga zaledwie rejonów sztuki odpustowej. Nie wiem w jakich stuleciach upatruje Putrament rodów socjalizmu, kiedy mówi, że „zaczął się on ileś tam wieków temu”. Ale wiem, że nam przypadło budować ten socjalizm w środku wieku dwudziestego, w określonym punkcie historii i w określonych warunkach społeczno-ekonomicznych, na określonym etapie rozwoju (lub niedorozwoju) cywilizacji, oświaty, ludzkiej świadomości i wrażli-

wości. Oczywiście, zrobiliśmy już bardzo wiele w zakresie niwelowania nierówności ludzkich losów, przede wszystkim w płaszczyźnie ekonomicznej i socjalnej, następnie oświatowej. Niwelujemy te nierówności w płaszczyźnie potrzeb kulturalnych (które częstokroć trzeba dopiero budzić) — i proces ten nie przebiega bynajmniej zadowalająco a programom w tym przedmiocie i ich realizacjom daleko do doskonałości. Ale jest wielkim uproszczeniem upatrywanie przyczyn wszelkich zahamowań — w antysocjalistycznym rzekomo podziale na kulturę masową i „tę drugą”. Można, gdy ktoś bardzo chce, podmienić terminy, na przykład słowo „masowa” zastąpić słowem „podstawowa”. Ale nie można za jednym zamachem pozbyć się problemu, zaprzeczając konieczności przystosowania kulturalnych treści do zdolności percepcyjnych odbiorcy. Można byłoby zafundować sobie (właśnie sobie!) w Koninie filharmonię i galerie sztuki, no i czekać w spokoju świętym, aż obywatel przyzwyczai się w którymś tam pokoleniu i wreszcie zacznie trawić. Ale nasz cud gospodarczy nie osiągnął jeszcze tego poziomu, który pozwalałby na takie marnotrawstwo środków i kadr, na taki „święty spokój”. W naszych warunkach istnieje przede wszystkim zagadnienie pedagogiki kulturalnej, którego nie sposób rozwiązać za pomocą zszastania zmąsowaną ilością.

To jasne, że nie należy utrzymywać, sankcjonować nierówności kulturalnych. Sytuacja, w której musi się dostosowywać upowszechnianą kulturę do zdolności percepcyjnych (co nie znaczy: gustów) masowego odbiorcy, musi być traktowana jako etap a nie jako sytuacja stabilna, docelowa. Musi ona (ta sytuacja) ciągle rozwijać się w górę, podnosić te zdolności percepcyjne (i potrzeby) mas. Ale kto chce w tej dziedzinie coś zdziałać naprawdę — musi liczyć się z aktualnym stanem chłonności kulturalnej awansującego obywatela a nie tylko z idealnym modelem jedności kulturalnej narodu.

Nie idźmy do Konina i Turka z gigantyczną masą „wysokopięknej” kultury, nie bądźmy efekciarzami. Idźmy tam z odpowiednim багаżem kultury podstawowej. Byłe na czas, byle nie za późno.

• • • • •
nad i

Tadeusz Kaczmarek

Sobór a świat współczesny

Obrać w Watykanie Sobór powszechny, chociaż pierwszoplanowym zadaniem jego jest omówienie spraw wewnętrznych kościelnych, nie uniknie z pewnością ustosunkowania się do problemów związanych z aktualną sytuacją w świecie.

Przewidywania te nie są wynikiem spekulacji czy nawet analogii, lecz opierają się na znanych słowach papieża Jana XXIII, który przyjmując delegację rządowe biorące udział w otwarciu Soboru, oświadczył: „Sobór przyczyni się niewątpliwie do stworzenia nowego klimatu i do oddalenia perspektywy

wszelkich konfliktów, a przede wszystkim wojny, tej plagi narodów, która oznaczałaby dzisiaj zniszczenie całej ludzkości. (...) Niechaj mężowie stanu nadal się spotykają, niechaj dyskutują i niech zawrą układy lojalne, wielkoduszne i sprawiedliwe. Niech będą również gotowi do koniecznych poświęceń dla ocalenia pokoju świata”.

Nie jest to pierwsza wypowiedź obecnego papieża na rzecz pokoju, przeciwko wyścigom zbrojeń atomowych, na rzecz rozwiązywania spornych problemów międzynarodowych drogą rokowań. Po raz pierwszy jednak dojdzie do konfrontacji intencji obecnego papieża ze zdaniem powszechnego zgromadzenia dostojników Kościoła katolickiego.

Wyników tej konfrontacji oczekują wszyscy ludzie, niezależnie od światopoglądu. Polacy mają szczególne powody interesowania się pracami Soboru, oczekując, że dostojnicy kościelni z całego świata znajdą poprzez ustanowienie tam pełnoprawnych polskich ordynariuszy jedynie sprawiedliwe rozwiązanie pro-

blemu diecezji na ziemiach zachodnich. Z wypowiedzi Jana XXIII skierowanej do biskupów polskich (Odrodzona Polska uczyła pamięć, „jak to miało miejsce na ziemiach zachodnich, po wiekach odzyska-

Sobór powszechny — zwołane przez papieża zebranie biskupów z całego świata w celu kolegiального rozstrzygnięcia w sprawach kościelnych. Kościół katolicki uznaje 20 soborów powszechnych. Uchwały ważniejszych soborów: sobór w Konstancji (1416-18) usunął antypapieża, potępił naukę J. Husa; sobór w Trydencie (1545-63) poświęcony był walce z reformacją; sobór w Watykanie (1869-70) ogłosił dogmat o nieomylności papieża w sprawach wiary i moralności.

nych, we Wrocławiu”, bohatera Soboru polkownika Francesco Nullo...), wynikałoby, że obecny papież dostrzega potrzebę rozwiązania tej sprawy.

Obok tej nieoficjalnej wypowiedzi widzieć trzeba jednak także sta-

Jan Sośnicki

książka przeciw analfabetyzmowi

Przybył nam fakt nowy a niespodziewany, wobec którego stanęliśmy zaskoczeni i chyba nieco, przynajmniej chwilowo, bezradni. Pod koniec sierpnia GUS podał dalsze, częściowe dane o wynikach spisu ludności. W danych tych znalazły się liczby o stanie analfabetyzmu w Polsce. Mówią one, że mamy 645.260 analfabetów oraz 269.640 jedynie umiających czytać. Razem daje to przeszło 900 tys. ludzi „tkwiących w ciemnocie”, jak pisze w „Nowej Kulturze” Jan Szeląg, który pierwszy podał te liczby do szerszej wiadomości. Nie dodał do nich wyjaśnienia, czy owo nagłe odkrycie analfabeci są takimi od urodzenia, czy też są to tzw. wtórni analfabeci, czyli tacy co to już czytać i pisać umieli, lecz z biegiem lat zapomnieli.

Mniemam, że chodzi o to drugie; w końcu nie pisano chyba przed kilku laty bezpodstawnie o likwidacji analfabetyzmu w naszym kraju. Ale jeśli aż tylu ludzi zapomniało o pięknej sztuce czytania czy pisania, to przecież coś znaczy — znaczy mianowicie, że coś zostało zaprzepaszczone z jakichś powodów, które na pewno można znaleźć.

Wtórny analfabetyzm następuje, gdy człowiek zrywa kontakt z drukowanym słowem. Badania prowadzone przez pedagogów wykazały, że absolwent szkoły podstawowej, pozostający przez dwa lata bez kontaktów z książką, traci 75 proc. nabytych w szkole wiadomości. A od utraty tych wiadomości już tylko nie duży krok do zaniku umiejętności pisania i czytania.

Informację o owych badaniach pedagogów znajdujemy w bieżącym numerze czasopisma „Kultura i Społeczeństwo”, w artykule Jadwigi Kołodziejkiej pt. „Z problematyki prac Instytutu Książki i Czytelnictwa”. Jest tam także szereg innych, bardzo interesujących danych. Sprawa badania czytelnictwa w przedstawionym kontekście ma przecież wielkie społeczne znaczenie. Zdawały sobie z niego doskonale sprawę najwyższe czynniki państwowe, powołując do życia w 1955 r. wspomniany Instytut Książki i Czytelnictwa. Chodziło wtedy o to, by procesy rozwojowe czytelnictwa i organizacja jego obsługi nie odbywały się żywiołowo, lecz zgodnie z określonymi prawidłowościami, których wykrycie i sprecyzowanie miało być właśnie zadaniem Instytutu.

I, jak się dowiadujemy z informacji zawartych w wymienionej publikacji, Instytut szereg takich prawidłowości ujawnił. A więc np., że głównym źródłem czerpania książek są na wsiach biblioteki powszechne,

gdy w miastach zakupy własne i wypożyczanie od znajomych. Fakt ten — raczej znany — znajduje tu podbudowanie liczbowe, procentowe. Inną, ujawnioną prawidłowością — jest zależność czytelnictwa od warunków działalności biblioteki. Ogromne znaczenie mają takie czynniki, jak wielkość pomieszczenia bibliotecznego, oświetlenie, ogrzewanie, usytuowanie biblioteczki w stosunku do innych środków życia wiejskiego. Jeśli biblioteka nie posiada czytelnicy — ma mniejszą frekwencję niż inna, która taką posiada; niechętnie ludzie przychodzą do zimnej biblioteki, ciasnej i odległej od miejsca zamieszkania.

Inicjatywa osobista bibliotekarza ma wielki wpływ na rozwój czytelnictwa. Stwierdzono, że w rejonach, gdzie poprzestaje się na mechanicznym udostępnianiu księgozbioru, liczba czytelników nie przekracza 13 procent mieszkańców terytorium, dla którego biblioteka pracuje. Tam natomiast, gdzie bibliotekarz jest aktywny, podejmuje różne formy pracy kulturalno-oświatowej — osiąga się niezwykle efekty w postaci aż 40 proc. ludności, korzystającej z biblioteki. Niestety, nie jest najlepiej z kadrą bibliotekarzy (o czym pisał już na naszych łamach Józef Pieprzyski, jej kwalifikacje nie zawsze są wystarczające, często nie przekraczają podstawowego wykształcenia. No ale cóż, istnieje w Polsce tyle atrakcyjniejszych zawodów, tyle bardziej opłacalnych zajęć! Niełatwo znaleźć entuzjastów z wysokimi kwalifikacjami do pracy w bibliotece.

Badania ujawniły także ścisły związek między wielkością zakupów i ich jakością, a rozwojem czytelnictwa. Tam, gdzie dużo się kupuje dobrych książek, istnieje równocześnie wysoki poziom czytelnictwa, wysoki poziom wypożyczeń. Zauważono również, że przełamane zostały na wsiach i w małych miasteczkach opory wobec literatury popularno-naukowej. Opory te, zdaje się, przełamały przede wszystkim wydawnictwa typu poradnikowego, rozmaite „chemie na co dzień”, „podręczniki kierowcy-amatora”, książeczki na temat gospodarstwa domowego, higieny, wychowania, mody itp. Dziś już literatura popularnonaukowa ma przetarte szlaki, oby tylko było takich książek w bibliotekach jak najwięcej!

Te i inne wyniki badań pokazują jak bardzo sensowna była uchwała Prezydium WRN w Poznaniu w sprawie bibliotek i czytelnictwa. Ogłoszono nawet rok bieżący „Rokiem bibliotek i czytelnictwa”. Wiadomo nam, że w szeregu powiatów potraktowano tę sprawę bardzo poważnie, że powiatowe prezydium radziły nad tym, że sporo bibliotek otrzymało lepsze pomieszczenia (lub też istniejące odnowiono), że powiększono księgozbiory itd. itp. Nie wszędzie jednak tak się działo. Mamy jeszcze w województwie biblioteki, pracujące w bardzo trudnych warunkach, dysponujące mało zachęcającym, starym, niecelowo odnawianym księgozbiorem. W tych wypadkach konieczna jest pomoc prezydium rad narodowych.

Rok bibliotek i czytelnictwa — powoli się kończy. Wszystkie prezydium powinny jeszcze raz ocenić czego w tej dziedzinie dokonały, a co jeszcze do zrobienia pozostało. Niechże bodźcem dla wszystkich będą dane GUS-u o owym, bez mała milionie, analfabetów. Naprawdę — najlepszym przeciwnikiem analfabetyzmu jest książka. I trzeba robić wszystko co możliwe, by ludziom ułatwiać dostęp do książki.

SPOTKANIA

Znana jest historia dwóch naszych naukowców, którzy spotkali się niespodziewanie na jednym zjeździe w wielkiej stolicy europejskiej. Jeden nie wiedział o wyjeździe drugiego, bo każdy reprezentował inną instytucję. Delegowały ich dwa różne resorty. Prawdą mówiąc nic nie ucierpiało dobro nauki i prestiż naszego kraju, gdyby pojechał tylko jeden z nich, gdyby delegacja była jednoosobowa.

Przytoczyliśmy umyślnie wypadek dość drastyczny, aby uwypuklić pewne ujemne strony istniejącej praktyki w obsadzaniu zjazdów zagranicznych. Trzeba przyznać, że jest to praktyka nie zawsze gospodarna i nie zawsze planowa, jeśli idzie o korzyści dla naszej nauki, dla osiągnięcia postępu w jakiejkolwiek dziedzinie. Tym bardziej, że każdy taki wyjazd jest połączony z poważnym wydatkiem nie tylko w złotych, ale i w dewizach.

Jeszcze smutniej przedstawia się polityka poszczególnych resortów w zakresie wyjazdów nie w celach ściśle naukowych, ale w ramach wymiany, przeprowadzanej na zasadzie umów międzynarodowych. Każda taka umowa ma na celu szkolenie, wymianę doświadczeń, nawiązanie ściślejszych kontaktów.

I coż widzimy? Zdarza się, że zamiast ludzi, których wyjazd rzeczywiście mógłby przynieść nam jakieś korzyści i którzy mogliby coś z siebie dać, wysyłamy — i to właśnie w ramach umowy — osoby najmniej odpowiednie, często nie znające żadnego obcego języka. Wyjazd taki nosi przeważnie charakter nie mający nic wspólnego z intencjami, jakie przyswiewały przy podpisywaniu umowy „dwom układającym się stronom”.

Przywilej wyjazdu otrzymuje na przykład urzędnik resortu, jako nagrodę za jakieś szczególne zasługi. Nieraz wprost czyjś protegowany, kto umiał w sprytny sposób, przedstawić swe racje. I można było nawet spotkać na plaży atrakcyjnej miejscowości pracownika minister-

stwa, który pojechał za granicę w bardzo doniosłej sprawie (słuchajcie!) zapoznać się — z systemem biurowości pokrewnego działu w resorcie obcego kraju.

Gdy już jesteśmy przy kontaktach z zagranicą i dotknęliśmy sprawy zjazdów naukowych, warto zająć się jeszcze jedną rzeczą — pro domo sua.

Kraj nasz jest coraz częściej terenem poważnych spotkań międzynarodowych o charakterze naukowym, kulturalnym i in. Wiele z nich jest świetnie zorganizowanych, a dzięki tłumaczeniu poszczególnych wystąpień na kilka języków, wszyscy uczestnicy biorą żywy udział w obradach. Łatwo mogą się porozumieć, dyskutować i replikować, co

**Pieniądze
trzeba oszczędzać
i... wydawać**

jest przecież elementarną zasadą tego rodzaju spotkań.

Nie wszystkie organizowane przez nas zjazdy między narodowe mogą

się pochwalić tak dobrymi warunkami. Czy to ze względów oszczędnościowych, czy też po prostu z braku środków finansowych, niektóre zjazdy — nawet o szerszym charakterze — bardzo odbiegają od przedstawionych powyżej zasad organizacyjnych.

Niedawno był u nas kongres, który odbił się szerokim echem w kraju i za granicą. Jego inicjatorem nie można odmówić talentów organizacyjnych i zapału. A jednak nie odegrał on takiej roli, nie był tak owocny jak należało się spodziewać.

Część inauguracyjna, uroczysta, oficjalna ostatecznie była dla wszystkich obecnych mniej więcej zrozumiała, pomimo, że nie przekładano przemówień i nie było drukowanych streszczeń poszczególnych wystąpień.

Gorzej było na zebraniach w komisjach. Można było widzieć taką scenkę: polski uczestnik kongresu wygłasza swój referat po polsku i to w tempie dość szybkim. Przewodniczący Grek. Wśród obecnych na sali znajduje się Anglik, Francuz, paru Niemców, Austriak i jeszcze kilku delegatów zagranicznych, którzy nie znają zupełnie naszego języka. Siedzą, jak na przysłowiowym „austriackim kazaniu” (Austriak również). Grzeczność tylko nakazuje im wysłuchanie do końca długich wywodów, z których nie pojęli ani słowa. I dziwić się potem, że po skończonym referacie przewodniczący robi złośliwą, ale uzasadnioną rozdrażnieniem uwagę, iż z całego referatu zrozumiał tylko dwa słowa: humanizm i socjalizm.

Wydaje się nam, że przy organizowaniu zjazdu o tak szerokim zasięgu i znaczeniu nie wolno robić oszczędności. Odbija się to najfatalniej na zadaniach, a jednocześnie naraża na szwank nasz autorytet, stawiając w niezbyt przyjemnym świetle nasze zdolności organizacyjne. Przecież nikomu z obecnych na zjeździe cudzoziemców nie mogło nawet przyjść do głowy, że impreza urządzona na tak dużą skalę i z tak wielkim rozmachem może ucieleścić z powodu braku stosunkowo niewielkich środków finansowych. Był to więc wielki błąd, nie do wybaczenia.

Nie marnujemy zatem pieniędzy na zbyteczne wyjazdy nieodpowiednich ludzi, które nam nie nie dają.

Ale nie żałujmy grosza, gdy wydatek może opłacić się stokrotnie.

J. U.

Malarstwo Krzyżańskiego

Względnie co pewien czas wybuchających sporów między zwolennikami tradycjonalizmu a nowoczesności, nie udało nam się jeszcze usłyszeć głosu Józefa Krzyżańskiego. Wydaje się to zresztą zupełnie zrozumiałe. On nie ma czasu na spory. — On maluje. Jałowość i beużyteczność tych dyskusji dla malarza, podkreślał niejeden raz. Głosem malarza w dyskusji jest — jak twierdzi — jego twórczość i tę postawę realizuje z pozazdrośczenia godną konsekwencją.

Ten „głos”, z którym spotykamy się na Jego jubileuszowej wystawie, ma siłę nie łąda argumentu. Uderza nas przede wszystkim konsekwentna linia twórczości. Krzyżański jest uczciwy, zarówno wobec siebie jak i wobec odbiorcy; nie wchodzi na obcy sobie — choć modny — grunt abstrakcji. W jego malarstwie od czuwamy po dzień dzisiejszy tra-

piącą niejednego z tej generacji tęsknotę za Matissem i Bonnardem, jak bardzo jednakże indywidualnie przeżyła, jak oryginalną. W malarstwie którego „suprema lex” jest kolor, wypowiada z absolutną szczerością swoją postawę wobec świata, postawę pełną radości życia i jego afirmację. Ta malarska transpozycja świata daje się szczególnie zaobserwować w pejzażu. W ogóle pejzaż wydaje się być najmocniejszą stroną tej wystawy. Nie jest on potraktowany tylko jako pretekst do malarskiej rozgrywki, jest także bardzo indywidualnie, głęboko przeżyty i opowiedziany.

Malarstwo Krzyżańskiego pełne jest dynamiki. Nie należy on do ge-

neracji młodych, sądzić jednak można, że niejedną z nich mógłby mu pozazdrościć siły i sensualnej radości życia, jaką dostrzegamy w jego aktach i ogromnej subtelności, połączonej z głębokim odczuciem psychiki modela, jaką obserwujemy w niektórych jego portretach.

Nie wiem, czy można dzielić malarstwo na przedstawiające i nieprzedstawiające, bo podział taki niczego nie wyjaśnia; ale na pewno można je podzielić na dobre i złe. W 40-lecie swojej pracy dał nam Krzyżański pokaz takiego dobrego, wysokiej klasy malarstwa o pięknej tradycji.

T. B.

Obok — reprodukcja: Portret córki.



nowisko Kurii Rzymskiej, opublikowane po proteście wniesionym przez ambasadora NRF w Watykanie, według którego (...) „granice diecezjalne między Niemcami a Polską pozostają w zawieszeniu do czasu, dopóki nie zostaną ustalone przez traktat pokojowy” (cytat za amerykańską agencją UPI).

Jednak — trzeba i to zauważyć — oficjalnie nie zdementowano słów papieża, dotyczących granicy na Odrze i Nysie, w imię — jak się mówi — zachowania tajemnicy rozmów papieża z Ojcami Soboru.

Kościółowi, jak to wynika z wielu mniej lub bardziej oficjalnych enuncjacji kół katolickich, szczególnie teraz należy na zdobyciu sympatii ludzi na całym świecie. Mówi się, że Sobór ma szukać dróg wyjścia z obecnej sytuacji, w której notuje się zubożenie wyznawców i spadek autorytetu Kościoła. Wątpliwe, by przedstawiciele hierarchii zgromadzeni w Watykanie nie zdawali sobie sprawy z faktu, że najbardziej powszechnego uznania może przy-

sporzyć Kościołowi właśnie opowiedzenie się za pokojem.

*

Drugim o podobnym znaczeniu problemem będzie ustosunkowanie się do współczesności: nieustającej laicyzacji społeczeństw, postępów nauki, załamania się kolonializmu, rozwoju i okrzepnięcia sił naukowego socjalizmu. Nie jest obojętne nie tylko dla katolików, czy wynikiem Soboru będzie choćby próba zrozumienia przez Kościół świata współczesnego, „świata, w którym co czwarty człowiek jest Chińczykiem, co trzeci żyje w systemie komunistycznym, co drugi chrześcijanin nie jest katolikiem” (cyt. z publikacji katolickiej Congara).

Sobór nie uniknie odpowiedzi i na tę kwestię. Może bowiem przyjąć za obowiązujące zdanie licznej grupy konserwatyistów, nie dopuszczających nawet myśli o próbie koegzystencji ze światem socjalistycznym; może też nie zająć oficjalnie żadne-

go stanowiska, co byłoby jednak potwierdzeniem zaangażowania Kościoła po stronie imperialistycznego świata zachodniego.

Inne z możliwych wyjść, to postawienie o większej ostrożności w popieraniu najbardziej reakcyjnych reżimów (na przykład Hiszpania, Portugalia) i ułożeniu wzajemnych stosunków z krajami socjalistycznymi. Tendencja ta („Ponawiać dziś potępienie marksizmu znaczyłoby, mówiąc delikatnie, przekładać papugi nad odkrywców” — z publikacji katolickiej Montvalona), lansowana w świecie katolickim przez tak zwanych „rewizjonistów” napotyka jednak na poważne, tradycyjne opory. I chociaż także obecny papież zdaje się oficjalnie dostrzegać laicyzację jako fakt, z którym należy się liczyć (odrzuć propozycję episkopatu Ekwadoru, zmierzającej do rzućenia klątwy na państwa komunistyczne, zapewnienie delegacji rosyjskiego Kościoła prawosławnego, że obrady Soboru nie będą wykorzystane w celach antykomunistycznych) trudno przewi-

dzieć, w jakim kierunku pójdą w tej mierze wnioski Soboru.

*

Coraz częściej obserwujemy nowe zjawisko w pozaliturgicznej działalności Kościoła katolickiego: z jednej strony obecny papież opowiada się za pokojem, dostrzega problem ustanowienia polskich ordynariatus na ziemiach zachodnich i nie wydaje się też unikać widzenia problemu Kościoła — świat laicki, a z drugiej ani oficjalne encykliki, ani też oświadczenia czołowych przed-

stawicieli Watykanu (a więc i obecnego Soboru) nie upoważniają do robienia sobie nadziei na generalny przełom w postawie Kościoła katolickiego wobec żywojących problemów współczesnego świata.

Wskazówka, przestrzegająca przed zbyt optymistycznym może być też fakt, że podczas Soboru kanonizowany ma być Pius IX (papież od 1846—1870), którego dewizą było: „Niech będzie potępieniem ten, kto powie: najwyższy kapłan w Rzymie może i powinien pojednać się i pogodzić z postępnym i współczesną cywilizacją”.

Warto jednak też pamiętać, że według prawa kanonicznego najwyższą władzę w Kościele sprawuje Sobór, z zastrzeżeniem że uchwały Soboru zatwierdza wyłącznie papież.

A więc — jeszcze jedna niewiadoma, kryjąca się nie tylko w 121 tajnych woluminach z konkretnymi wnioskami przygotowanymi dla Soboru: czy papież zechce uznać wszystko, co zdecydują ojcowie Soboru?

Na porządku obrad II Soboru Watykańskiego znajdują się m. in. takie kwestie, jak reforma diecezji, uznanie nieomylności biskupów w sprawach wiary i moralności w podległych im diecezjach, zmiany statutu zakonów religijnych, kwestie liturgii, problem kościołów niekatolickich, problem małżeństw, zadania świeckich organizacji katolickich. Oczekuje się też omówienia niektórych zagadnień o znaczeniu politycznym.

Jak ujęto zdrajcę Własowa?

Wkońcowej fazie walk o Berlin korpus czołgów, którym dowodziłem, otrzymał nowe zadanie — pisać autor. Należało działać na skrzydle wojsk, spieszących z pomocą powstałej ludności Pragi. Ostatni postój przed wymarszem. W czasie posuwania się naprzód odszukał mnie pułkownik — przedstawiciel sztabu frontu, który wręczył mi rozkaz o objęciu dowództwa. Korpus wyłaczono spod dowództwa armii. Otrzymał on zadanie szybkiego udania się

wałem mu rozbrojenie resztek wojsk faszystowskich i bandytów — własowców walających się z bronią po lasach.

— Przemili goście — odpowiedział Amerykanin. — Jesteśmy wojskowymi, niechaj polityką zajmują się ci, którzy są do tego wyznaczeni. Nie spieszcie się. O waszej prośbie poinformuję mojego szefa.

O własowcach i o samym Własowie Amerykanin w ogóle nie chciał mówić. Wypadło działać samodzielnie i wkrótce do mojego sztabu dostarczono Własowa.

„Ja i kierownik wydziału politycznego P. M. Jelisiejew z ciekawością obserwowaliśmy przybliżającego się w naszym kierunku w asyście dowódcy batalionu kapitana Jakuszewa wysokiego, przygarbionego generała w okularach, bez nakrycia głowy w lekkim płaszczu koloru stalowego. Oto jak prezentował się ten wyrzutek!

— Jak uważacie — mruknął wyniośle Własow podnosząc lewą brew. — Czy jestem u was w niewoli, czy też wy w niewoli u Amerykanów? Jakim prawem zatrzymaliście mnie?

— Zidentyfikujemy was. Kim jesteście? Jakie macie dokumenty? — Z miejsca go osadziłem. Odpowiedział — moje nazwisko Własow.

Drżącymi rękami z wewnętrznej kieszeni munduru wyciągnął legitymację. Znałem mi podpisy stwierdzające, że przed nami stoi były dowódca drugiej armii szturmowej leningradzkiego frontu.

— Czy napiszecie rozkaz do swoich podkomendnych o bezwarunkowej kapitulacji i całkowitym rozbrojeniu? W przeciwnym wypadku wydam rozkaz wojskom zlikwidowania waszych band.

Po krótkim namyśle Własow poprosił o papier i szybko zredagował rozkaz, który powielono. Wszystkie egzemplarze zostały podpisane przez Własowa. Do każdego zgromadzenia skierowano naszego oficera, gdzie odczytywano rozkaz, po czym wprowadzano kolumny rozbrojonych własowców na drogę. Wszystko odbywało się szybko i sprawnie. Najbardziej wyrafinowane lotry, zwłaszcza oficerowie z oddziałów karnych i kandydaci na dyktatorów, którzy znajdowali się w obozie Własowa, zdążyli przedostać się do strefy amerykańskiej.

„Własow szybko przygasał. — Lepiej było się zastrzelić — powiedział z rezygnacją. Słusznie. Gdyby to nastąpiło wcześniej, byłoby lepiej dla wszystkich. Własowa skierowano do sztabu frontu, następnie — jak wiadomo — zdrajca znalazł się na ławie oskarżonych i został stracony.

✱

W jaki sposób Własow dostał się do niewoli?

Gdy zwiad nasz ustalił miejsce rozlokowania wojsk Własowa i jego sztabu, ustanowiono dokładną obserwację zamykając drogę na zachód. Niektóre jego oddziały znalazły się w rozszycie, a liczni oficerowie Własowa szukali kontaktu z żołnierzami radzieckimi, by przedostać się do naszych wojsk. Nasz

dowódca batalionu kapitan Jakuszew, — pisał następnie E. Fominy — w ten sposób zapoznał się z pewnym oficerem z wojsk Własowa, dawniej także kapitanem i również dowódcą batalionu.

Dowiedziawszy się o wyruszeniu Własowa, kapitan ten przybiegł do Jakuszewa. Natychmiast, Jakuszew wskoczył do samochodu kapitana Kuczyńskiego i pomknął, by zatrzymać kolumnę Własowa. Wyprzedziwszy kolumnę samochodów osobowych i specjalnych Jakuszew zatrzymał swój samochód w poprzek drogi. Kolumna zatrzymała się. W pierwszym zatrzymanym samochodzie jechał dowódca dywizji generał W. Jamiczenko, który na żądanie Jakuszewa, by udał się za nim, kategorycznie odmówił wykonania tego rozkazu. Równocześnie kapitan Kuczyński zakomunikował Jakuszewowi, iż w kolumnie znajduje się Własow. Sprawdzone wszystkie samochody, ale nie znaleziono Własowa.

Sytuacja stawała się krytyczna. Kierowcy wychodzili z samochodów. Z ciekawością obserwowali uwijających się kapitanów, z których jednego znali i widocznie z tego powodu nie wyszczynali alarmu.

Wtem kierowca czwartego samochodu skinięciem głowy dał do zrozumienia Jakuszewowi, że Własow znajduje się w nim. Zajrzawszy do środka, Jakuszew zobaczył na tylnym siedzeniu dwie wyleknione kobiety. Ze złością spojrzeli na szofera, który jak gdyby tylko na to czekał i ponownym skinięciem głowy dał do zrozumienia, że Własow jest w samochodzie.

Dalsze wypadki rozwijały się z błyskawiczną szybkością. Jakuszew szarpnął drzwi samochodu i zauważył dziwnie zwinięty dywan, spod

Andrzej Własow (1900 — 1946), który podczas drugiej wojny światowej zdradził swą ojczyznę, przechodząc na stronę Niemiec; stanął na czele oddziałów tzw. własowców, które odznaczały się szczególnym okrucieństwem.

którego wyciągnął Własowa. Nie namyślając się długo Jakuszew wepchnął Własowa do swego samochodu. W tym momencie z lasu zaczęły wyłaniać się tyraliery fizylierów zmotoryzowanego batalionu brygady pułkownika Miszczenki.

— Szybko w kierunku sztabu! — wydał rozkaz kierowcy Jakuszew.

Kierowca nie mając orientacji począł błądzić po lesie, który roił się od własowców. Własow po rozejrzeniu się upatrzył odpowiedni moment i wyskoczył z samochodu uciekając co tchu.

Jakuszew na chwilę zdrętwiał, po czym pobiegł za nim z wyciągniętym w jego kierunku rewolwerem. Zorientował się, iż uciekinierowi nie starczy sił na dłuższą metę i dlatego postanowił nie robić użytku z broni. Własowa dostarczono do dowództwa korpusu.

Tak wyglądał niechlubny koniec kariery generała — zdrajcy.

Eugeniusz Pauksza

Prawda owych lat

Lat wojny, okupacji. Lat bez nadziei i lat walki. Wspomnienia są ciągle żywe, nie można się od nich uwolnić. I chyba nie trzeba... Narasta dyktans czasowy, wykształca się pełniejszy obiektywizm widzenia. Ale wojna pozostaje wojną, okupacja pozostaje okupacją. I trzeba o nich wiedzieć jak najwięcej.

Ciągle zaprząta nas pamięć tamtego tragicznego września 1939 roku, strzałami o świtaniu zaczynającego wojnę. Nowym, cennym przyczynkiem do poznania pewnego fragmentu działań wojennych staje się książka historyka łódzkiego, Władysława Bortnowskiego, opublikowana przez Wydawnictwo Łódzkie. „Na tropach łódzkiego września”, to praca usiłująca podsumować dotychczasowy wynik badań nad przebiegiem kampanii wrześniowej, to zarazem polemika z dotychczasowymi relacjami, między innymi gen. Rómmla, dowódcy armii „Łódź”. Książka Bortnowskiego w całej pełni ukazuje obraz września nowych dni na terenie, gdzie działały cztery nasze armie („Łódź”, „Prusy”, „Poznań”, „Pomorze”) i przez który przechodziła główna oś niemieckiego natarcia. W przedziwny sposób na półkach księgarskich zjawia się też obecnie książka dawniej wydana i bardzo poszukiwana, mianowicie monografia Ludwika Głowackiego (wydanie MON-u) — „Obrona Warszawy i Modlina na tle kampanii wrześniowej”, gruntownie omawiająca organizację i walki regularnych oddziałów w rejonie stolicy. Zbieraczom militariów bardzo tę pracę polecam.

Oświęcim, aż do dni wyzwolenia. Jakby poszerzeniem widzenia niezgasłej nawet w najcięższych warunkach pracy ideowej i organizacji oporu, staje się wydane nakładem MON-u studium Henryka Rowińskiego pt. „Z działalności PPR w Buchenwaldzie”. Książka w swych rewelacjach, opartych o ścisłą dokumentację, aż po indeksy nazwisk, jest najlepszym chyba dowodem odporności psychiki ludzkiej i siły frontu antyfaszystowskiego, jednoczącego się w miejsku kaźni w tajnym Międzynarodowym Komitecie Obozowym.

Do książek Jana Kurczaba, choć darzęmy szacunkiem intencje autora, nie miałem dotąd zbyt niego przekonania. Tym bardziej może przejął mnie, wzruszył i ujął siłą artystyczną nowy tom tego autora, opublikowany w MON-ie cykl opowiadań, związanym z genialną ludnością żydowskiej, widzianą poprzez indywidualne przeżycia, pod wymownym tytułem: „Wojna nie zabija matek”. Książka ta staje się dla mnie jednym z największych oskarżeń systemu hitlerowskiego, oskarżeń wypowiedzianych środkami artystycznymi.

Interesujących się Powstaniem Warszawskim chciałbym przesłać do opowieści Barbary Nawrockiej (wydanie „Czytelnika”) pt. „Powszedni dzień dramatu”, będącej historią pięciu łączniczek Komendy AK. Autorkę mniej interesuje zewnętrzna strona wydarzeń, chociaż i te oddaje sugestywnie, przy tym bez patosu, ile to przeżyć wewnętrznych bohaterów. To zresztą stanowi największą wartość książki.

Skoro mowa o powstaniach, warto by zalecić czytelnikowi polskiemu opublikowany przez „Czytelnika” przekład powieści słowackiego pisarza Ladisława Mnačko „Śmierć” nazywa się „Engelchen”, ukazującej poprzez introspekcję rannego żołnierza dzieje i tło powstania w Słowacji. Książka pisana jest z dużą kulturą.

Wydawnictwem specjalnym jest publikacja PWN pt. „Festung Breslau”, dokumenty oblężenia 16. II. do 6. V. 1945”, opracowane przez K. Jońcę i A. Koniecznego artutowane akta dowództwa wojsk artyleryjskich twierdzy. Publikacja ta stanowi wspólną odpowiedź na niemieckie próby nadania blasku epopei dniom oblężenia, wbrew prawdzie o ślepiu fanatyzmu i okrucieństwie w stosunku do własnego społeczeństwa. Trudno o lepszą formę polemiki, gdyż mówią tu nie cyzelowane słowa, ale urzędowy język przerażających często w swej bezdusznosci rozkazów.

„I stworzył Bóg babę”, zrealizowaną na podstawie opowiadania K. Teimajera. Pośród filmów w kategorii „poważnymi zastrzeżeniami” znajdują się: „Kamienie niebo”, „Popiół i diament”, „Niewinni czarodzieje” i „Nóż w wodzie”. Na filmy tej grupy zdecydowanie odradza się uczęszczać widzowi...

Rozmaitości

Na łamach Kierunków — prof. dr Tadeusz Silnicki, publikuje nader ciekawe wspomnienia z jesieni 1939 roku. Autor opisuje szczegółowo barbarzyńskie metody wysiedlania ludności z Poznania, zwłaszcza miejscowych uczonych, przytaczając wiele autentycznych szczegółów i pozwalając się na oryginalne dokumenty oraz zarządzenia. Całość T. Silnicki opatrzył tytułem „Humanizm — to nic nie znaczy”, którą to mąksemę wyznawał oślawiony gauleiter „Warthe-landu” — Greiser. Omawiany artykuł ma charakter kartek z pamiętnika, ale jest zarazem studium historycznym na temat zjawiska ogólniejszej natury. Jest to rozdział z dziejów naszej niedoli pod okupacją.

W Życiu Literackim Jan Paweł Gawlik omawia szerzej działalność poznańskiego „Teatru 5”, który nazywa teatrem Hebanowskiego.

Czesław Michniak doczekał się recenzji swego nowego tomu opowiadań pt. „Łosy złote i srebrne” na łamach Tygodnika Kulturalnego (recenzuje Zbigniew Pędziński). Nalomiast Trybuna Ludu (nr 287) przyniosła między innymi omówienie książki innego poznańskiego literata — Arkadego Fiedlera („Nowa przygoda: Gwinea”, recenzent — Jaszcz).

LEKTOR

Komu pieniądze - komu!

Dokończenie ze str. 2

wiedzą, co z „antyalkoholową” forszą począć, proponując, by przeznaczyć nieco środków na sporządzenie i prowadzenie dokładnej statystyki konsumpcji alkoholu w Wielkopolsce i jej stolicy. Po skompletowaniu takiej statystyki, z rozbiorem na powiaty, miasta, czy dzielnice, z uwzględnieniem rodzajów napojów, różnicowania obrotów wódką na wieś i miasta (statystyki takiej nie ma) — nie zawadziłoby dokonywać socjologicznej analizy napływającego materiału.

Bo w województwie ludzie piją z roku na rok więcej. A w Poznaniu, chociaż piją mniej niż przed sześciu laty — te głupie 3,62 litra³) stuprocentowego spirytusu na głowę w tym roku wypadnie...

PIOTR ŻYCKI

1) Por. art. z 7 bm. „Pić i umierać”

2) Trudno zrozumieć, dlaczego Prezydium WRN tolerowało, iż Prezydium PRN Poznań — wbrew prawu — nie planowało na lata 1960 i 1961 na zwalczanie alkoholizmu ani grosza.

3) Zestawiono w oparciu o obliczenia i dane Wydziału Handlu Prezydium RN Poznań oraz Poznańskich Zakładów Piwowarsko-Stodolniczych.



Dzisiaj — przegląd prasy na zasadzie tematyckiego kalejdoskopu. Zaczniemy od spraw gospodarczych, ale takich, z którymi na co dzień styka się tak zwany szary obywatel.

Bubli mniej, ale...

„Zapasy z zapasami” to tytuł publikacji Grzegorza Pisarskiego, który na łamach Życia Gospodarczego zajmuje się problemem przepelnionych magazynów. Autor między innymi pisze:

„Dokonany ostatnio przez resort handlu przegląd zapasów dowodzi, że problem niewłaściwej ich struktury, choć nie tak ostry, jak przed laty, wciąż jest sprawą aktualną. Znajduje on wyraz m. in. w pokaźnych zapasach towarów trudnozbywalnych, od lat oczekujących na nabywców. Udział tych towarów w ogólnej wartości zapasów wyrobów przemysłowych został obniżony z 21 proc. w 1959 r. do ok. 8 proc. w połowie br. (...). Na pierwszym miejscu wymienić trzeba: tkaniny, odciele, wyroby dziewiarskie i północznicze (...). Na drugim znajdują się natomiast trudnozbywalne zapasy tkanin, wyroby odzieżowe. (...) Ponadto znaczny odsetek towarów trudnozbywalnych znajduje się w hurtowniach wyrobów sportowych i obuwniczych.”

A oto, co na temat bubli pisze felietonista Życia Gospodarczego — Klakson:

„Niestety, wytwarzające je fabryki, nie tylko nie plałują — co by dawno zrobili w innym u-

stroju, ale zazwyczaj biorą jeszcze premię za kolosalne sukcesy produkcyjne. Wszystko bowiem liczy się u nas od tego, co zostało wyprodukowane, a nie od tego, co zostało sprzedane, mimo, że każdy krwiopicawyzyskiwacz, za nikłą opłatą wyjaśniby naszym przedsiębiorcom, że zrobić to każdy głupi potrafi, ale sprzedać... I że lepiej nie zrobić, i nie sprzedać, niż zrobić i nie sprzedać.”

O współczesnej polszczyźnie

...pisze w Przeglądzie Kulturalnym Andrzej Kijowski. Są to nader interesujące rozważania, zwłaszcza dla ludzi rozmiłowanych w pięknie języka, bądź parających się piórem. Niestety, nie jest możliwe wzięcie nawet streszczenia wywodów wspomnianego autora. Zadowolmy się przytoczeniem jego konkluzji:

„Współczesnej polszczyźnie potocznej nie zarzucać, że jest zepsuta, bo nie wiem, jaka jest idealna, nie jest jest wulgarna, bo to, co dziś jest wulgaryzmem, nie będzie nim już jutro, nie to, że jest eufemistyczna, bo eufemizm wzbogaca język, nie to, że jest niestaranna, gdyż nie wiem, jak rozmawiali przodkowie, zarzucać jej natomiast, że jest niepoważna, że nad miarę przesiąknięta żartem i parodią, że stała się językiem, którym nie sposób wartościować czynu, oznajmiać uczucia, przekazywać wzruszenia i formułować poglądy.”

Wizja i rzeczywistość

Jan Szelaż na łamach Nowej Kultury w swym cotygodniowym felietonie „Tak i nie”, nawiązał tym razem do rozpoczętej przez to czasopismo dyskusji na temat stanu kultury w Polsce. Szelaż wyraża szereg trafnych myśli, których końcowy fragment cytujemy:

„Nie należy pokpiwać z operetki, bo nie każdy może zacząć od razu od słuchania Webera i Pen-

dereckiego. Błędem jest przymierzanie przez intelektualistów, czy też takich, którzy dość samowolnie za takich się uważają, wszystkich dzieł do swoich możliwości i potrzeb. Nie każdy ma pod ręką słownik wyrazów obcych, własny pokój do czytania, lampkę przy tapczanie i nie każdy wstaje w Polsce o 12 w południe. Wiele dziełom nie należy udzielać, jak się to mówi, taryfy ulgowej. Wiele jednak należy rozpatrywać z punktu widzenia spełnienia upowszechnienia wartości kulturalnych. Przy badaniach odbioru kulturalnego należy brać pod uwagę przeciętną, a nie wyjątki. Nie należy z nieumiejętności odbioru dzieł bardzo nowoczesnych robić probierza wartości człowieka. (...) Trzeba się pogodzić z tym, że ludzie są różni, nie tylko wielkością nosów, kolorem włosów, czy charakterem, ale i różni w swym ustosunkowaniu się do sztuki. (...) Inaczej byłoby na tym świecie strasznie nudno, w świecie ludzi jednakowych, mających jednakowe gusty, jednakowe reakcje. Jest to straszna wizja, którą odganiam od siebie z całą siłą. A kysz!”

Filmy dobre i złe...

Jak zwykle interesująca Polityka, przynosi i tym razem szereg materiałów „do czytania”. Zwraca zwłaszcza uwagę artykuł Władysława Leszczyńskiego, omawiający działalność Komisji do spraw filmu, radia, telewizji i teatru, istniejącej przy Episkopacie Polskim. Jak pisze Polityka, Biuro Komisji, oprócz ocen filmów zagranicznych, feruje również sądy o filmie polskim. Od roku 1958 (czyli od początku swej działalności) oceniło ono 73 filmy polskie, wyprodukowane w ostatnich latach. W ocenach posługuje się Biuro schematem, dzieląc filmy na 11 grup, w zależności od ich „wartości moralnych”. Jakież to filmy wspomniana Komisja uważa za niedozwolone, potępione i zakazane? Między innymi „Bazę ludzi umarłych” oraz... krótkometrażówkę